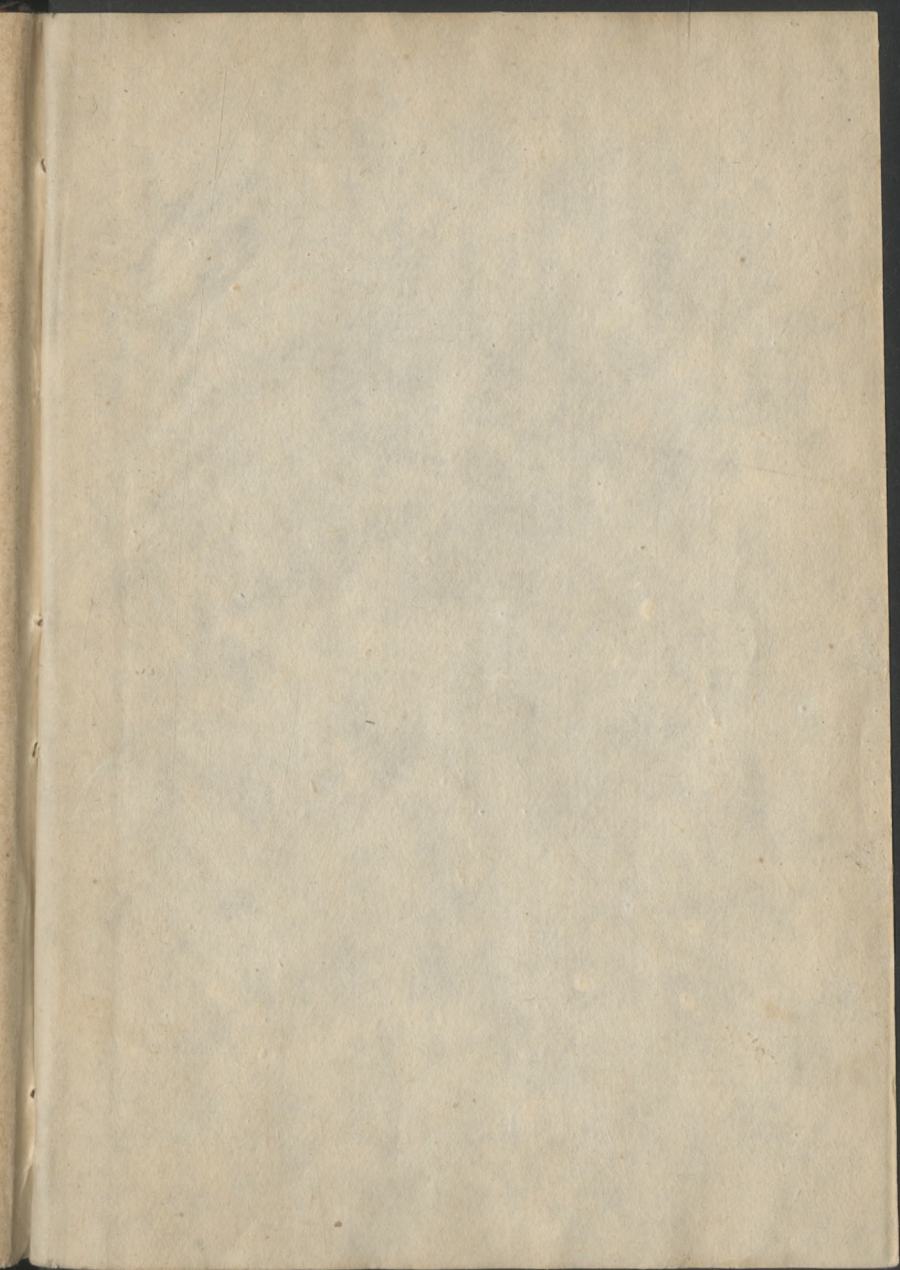
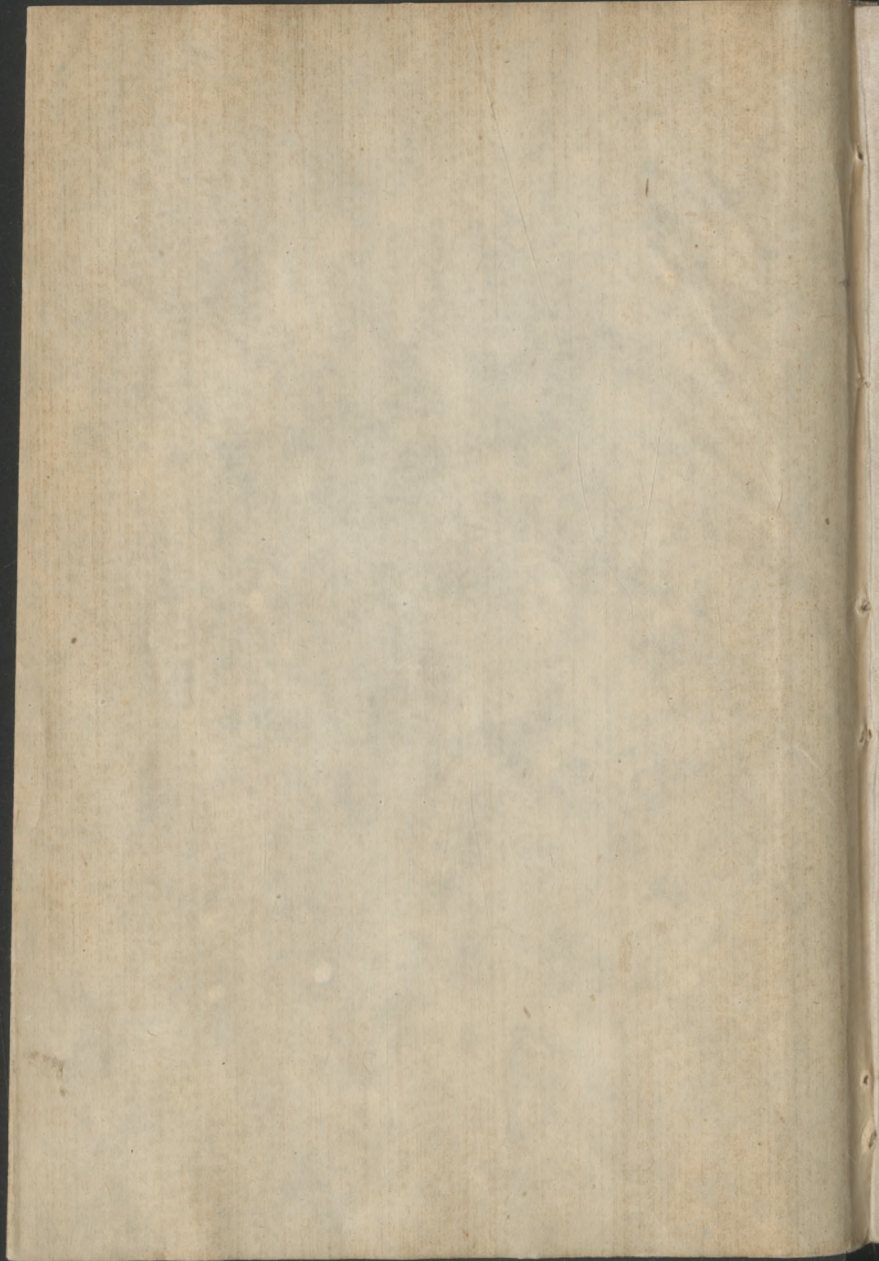


Buyno-Arctova M.: Duvny smerek.









435946

Pm
BUY
d

MARJA BUENO

DUMNY SMEREK
DUCH BURZY

BAŚNIE GÓRSKIE



1918

WYDAWNICTWO M. ARCTA W WARSZAWIE

LUBLIN -- NAMESTNIKOWSKA 23.



R. 25/80



Mik.D. 31447

Gepřuft und auch für die Ausfuhr freigegeben durch die Kais. Deutsche
Presseabteilung, Warschau, den 29. I. 1918. T.- N^o 8898. Dr. N^o 692.

DRUKARNIA M. ARCTA W WARSZAWIE, NOWY-SWIAT 41.

DUMNY SMEREK



Hen, hen, daleko, kędy na-
gie szczyty gór aż ku niebu
sterczą, kędy potoki górskie pędzą z mocą, a szu-
mem wielkim, kędy całe wzgórza, pokryte strze-
listymi smerekami, gwarzą a gwarzą bez końca,
kołysane wiatrami, — w tej krainie ujrzał cudne
światło słoneczne maleńki smerek.

Zaledwie po raz pierwszy wychylił główkę
i rozejrzał się wokoło, dostrzegł, iż na wysokiem
wzgórzu zajmuje miejsce najwyższe.

— O — szepnął w zachwycie — toż ja się tu
królem urodziłem! Na najwyższem miejscu ros-
nę i najwyższy, najbliższy tego cudnego szafi-
rowego sklepienia być muszę! Na mnie najpierw-
szego padać będą różowe blaski wschodzącego
słońca, na mnie purpura jego gasnąć będzie naj-
później! Przede mną uchylą głowy wszystkie
inne smereki, bom ja tu królem!

Tak marzył maleńki smerek, który, zaledwie
wzniósł główkę ponad matkę - ziemię, już dał
się opanować pysze, chęci władzy i panowania.

A tymczasem, gdy się pilnie rozejrzał woko-
ło, dostrzegł mnóstwo innych, podobnych mu
smereków, które wesoło podnosiły zielone główki

ku słońcu, i, o zgrozo! spostrzegł, że wiele z nich przewyższa go wzrostem.

— Schylcie głowy! — krzyknął groźnie mały smerek — ja na najwyższym miejscu rosnę, mnie się należy panowanie i największe pieszczoty słońca. Jam waszym królem!

Usłyszawszy głos groźny, niektóre smereki, co najpóźniej światło dzienne ujrzały, stuliły i opuściły ku ziemi swe szmaragdowe igielki; lecz za chwilę podniosły główki, gdyż usłyszały głos inny:

— Hola, mój dumny paniezu! Któż to ci dał władzę panowania nad nami? — zawołał donośnie wysmukły smerek, który rósł na zboczu wzgórza.

— Czyż nie widzisz, że rosnę na miejscu najwyższym? Czyż to nie dosyć, bym wam panował?

— O, nie, mój bracie! To, że rośniesz wyżej, niż inni, nie twoją jest zasługą. Każdy z nas rośnie i żyje w miejscu, w którym padło nasionko, unoszone wichrem. Nasza wola nie tu nie znaczy! Pysnić się więc z miejsca, na którym rośniemy, byłoby rzeczą nierozsądną i śmieszną!

— Mówisz tak, gdyż sam zajmujesz marne miejsce na zboczu...

— Mylisz się! Kocham miejsce, na którym żyję, i nie zamieniłbym się na nie z nikim. Spójrz na mnie! Widzisz, jak wierzchołek mój prościutko strzela ku niebu, jakie me igły soczyste i jędrne, a gałęzie jak szeroko i potężnie rozpościerają się wokoło! Jestem silny i duży!

— A jednak królować nie będziesz! — rzekł dumnie mały smerek.

— Ani ja, ani nikt królować tu nie będzie. Wszyscyśmy równi, króla nie chcemy!

— Nie chcemy, nie chcemy! — zaszumiały chórem wszystkie smereki, kołysząc głowami.

— A jednak mieć go będziecie, ja wam królować będę! — krzyknął gniewnie mały smerek.

Były to ostatnie słowa, jakie wyrzekł do bra-
ci swych, smereków. Odtąd wszystkie swe siły
wyteżył, by nabrać jak najwięcej sił, stać się po-
tężnym, wielkim, mocnym... I nie chodziło mu
o to, by wierzchołek jego był najbliżej słońca,



by gałęzie jego chroniły ziemię przed palącym
promieniami, by igły jego wydawały jak najwię-
cej zapachu ożywczego — on chciał tylko wzrość
w siły, by panować nad braćmi swymi, by im

okazać swą moc. Biedny, biedny smerek! Nie dla niego cudne igraszki z kropelkami brylantowej rosy, iskrzącej się na igłach zielonych, nie dla niego pieszczoty ożywczych promieni słonecznych, nie dla niego serdeczne rozmowy z figlarnym wietrzykiem! Gdy inne smereki wesoło gwarzyły, szumiały, kapiąc swe igły w lśniących kroplach rosy i susząc je w promieniach jasnego słońca — on wyciągał ku słońcu zielone ramiona tylko po siłę, po nią zapuszczał w ziemię swe korzenie.

Pracował bez ustanku, bez wytchnienia, a czoło jego wznosiło się coraz wyżej, coraz dumniej.

Aż raz korzenie jego w poszukiwaniu najpożywniejszych soków natknęły się na przeszkodę: w tym właśnie miejscu zapuszczał swe słabe korzonki młodziutki, nowy smerek.

— Precz z drogi, albo źle z wami będzie! — krzyknęły groźnie potężne korzenie mniemanego króla — smereka.

— O, zostawcie nas tutaj! Wyście takie silne, wszędzie sobie utorujecie drogę — a my, o! patrzcie, jakie my słabe!

— A, śmiałki! Opierać się chcecie królowi, a więc gińcie!

Rozległ się trzask, jęk bolesny i oto młodziutki smerek, wysadzony ze swego miejsca, zawisł w powietrzu.

Dni kilka żył jeszcze biedak, odżywiając się rosą, lecz słabł coraz bardziej, żółkł, igły jego oblatywały, aż wreszcie zakończył życie.

Była to pierwsza zbrodnia króla smereków.

Wszystko naokół zadrżało z oburzenia, wzgórce całe szumiało, kołysało się gniewnie, ale król, pewny swej siły, spoglądał z pogardą na wzbudzony tłum smereków u jego stóp — i szedł dalej drogą wytkniętą.

Odtąd wszystko, co stało na przeszkodzie królowi smereków, ulegało zniszczeniu: padały drobne i większe drzewa, żółkła i marła trawa



i krzewy, rosące bliżej, aż wreszcie wokoło króla-smereka nie było nikogo: stał sam jeden, silny, wielki, potężny, sięgał czołem ku niebu, i, kołysząc się dumnie, szeptał:

— Jam tu król, jam król, jam król..

Razu jednego drobna ptaszyna, usłyszawszy ten szept dumny, siadła na gałązce i zapytała:

— Królu, a gdzież twoi poddani?

Rozejrzał się smerek, a tu wokoło niego cisza, niby pustynia.

— Nie dbam o nich! Jesienią wiatr naniesie mnóstwo nasionek, a wiosną cały tłum smereków mieć będę u stóp swoich!

Ptaszyna pokiwała główką i rzekła:

— Oj, królu! Nie zazdroścę ci ja tego panowania i tego państwa. Zniszczenie wokoło... żywej duszy bliższej ci niema.. A niechno jakie nieszczęście — na kim się wesprzeć!

Krół uśmiechnął się pogardliwie.

— Marny, nędzny ptaku! Alboż nie widzisz mej siły? Czyż mi potrzebna podpora?

Ptaszyna otworzyła dziobek, jakby jeszcze coś rzec chciała, lecz smerek, zniecierpliwiony święgotaniem, zaszumiał potężnymi gałęziami i nie słuchał więcej.

— Biedny, biedny królu! — szepnęła ptaszyna. — Jak mi cię żal!

I, rozwinawszy małe skrzydełka, uleciała w niebieskie przestworza, by więcej w to pustkowie nie wrócić.

A smerek stał dumny, silny, niewyciężony sięjąc wokoło strach, grozę i zniszczenie.

Trwożliwie przytulone do siebie, stały małe wątłe smereki, czepiając się zbocza góry, nie śmiąc zapuścić głębiej korzeni, by ich nie zniszczył król pagórka.

— Długoż tego będzie! — szeptały smutnie — długoż nam będzie panował ten władca okrutny bez serca!

Lecz król smereków nie słyszał, czy też sły-
sząc nie chciał słów tych: rósł w siłę, dumę,
potęgę — i wreszcie wierzyć począł, że niema
nad niego większej mocy.

Aż raz...

Było to w jesienny, upalny dzień. Od rana
po niebie przepływały tłumnie ciemne chmury,
słońce paliło niemilosiernie, powietrze było cięż-
kie i duszne. Ptactwo latało niespokojnie, nie
śmiać przerwać gniołającej ciszy swym szczebio-
tem, drzewa chyliły trwoźnie swe korony — cała
ziemia zdawała się być zalękniona i pełna jakie-
goś oczekiwania.

Tylko on, król smereków, stał spokojnie, ma-
jestatycznie, bez cienia trwogi, a słysząc dolata-
jące go odgłosy niepokoju, szumiął dumnie:

— Niechaj przyjdzie! Zmierzymy się! Zoba-
czymy, kto silniejszy!

W nocy przyszedł, przeczuwany przez wszyst-
kich, niszczyciel gór — wiatr halny! Którędy
przebiegł, szumiąc, świszcząc i wyjąc — leżały po-
walone pnie, potrzaskane korony drzew, sypały
się kamienie, zostawała żółkła, spalona trawa.
Wszystko naokół drżało z trwogi.

Wątle smereki na zboczu góry tuliły się do
siebie rozpaczliwie, czekając niechybnej śmierci.

A król stał nieustraszony, wyczekując z nie-
cierpliwością chwili, kiedy będzie mógł się zmie-
rzyć ze strasznym wrogiem.

Aż nagle zadrżało wzgórze, wszystko naokół
zajęczało, zapłakało, gnąc się ku ziemi. Z hu-
kiem i szumem nadbiegł wiatr halny, a ujrzał-
szy stojący samotnie na wzgórzu dumny smerek,
uderzył weń z całą mocą.

Smerek zachwiał się, zakołysał, lecz stał na
miejscu.

— Co? — zawył wicher — śmiesz mi się sprze-
ciwiać, mnie, mocarzowi gór!

— A wiesz ty, ktom ja? — dumnie zaszumiło
drzewo.—Jam król smereków!

— Ha, ha, ha — zaśmiał się wichher — tyś król! Więc chcesz się mierzyć ze mną! Ha, ha, ha, królu, gnębicielu słabych, przygotuj się na śmierć. Za chwilę padniesz u mych stóp!

— Nie zastraszą mnie twe groźby! Zmierzymy się, a zobaczymy, kto silniejszy!

Zaświstał wichher, zawył, zahuczał i rzucił się na samotny smerek. Ten zmagął się z nim długą chwilę, odpierał napaści, bronił potężnymi konarami.

Lecz siły opuszczać go zaczęły. A tu znikąd ratunku — wokół ani jednego drzewa, ani jednego krzewu, któryby mu przyszedł z pomocą i osłabił ataki wiatru.

Smerek zebrał ostatki sił, odparł raz jeszcze napadający nań wichher, lecz gdy ten ponowił atak, rozległ się ogłuszający trzask, wzgórze zatrzęsło się, i za chwilę król smereków, wyrwany z korzeniami, runął w przepaść!

Wichher zaśmiał się szyderczo:

— A co, królu! Kto silniejszy!

I huczał dalej, świszczal i śmiał się, a zewsząd padały pod jego naciskiem drzewa z głuchym jękiem.

Długo tak szalał w górach wichher halny, aż wreszeie znużony ucichł, ułożył się zmęczony do wypoczynku i... zasnął!

Na niebie ukazało się jasne słońce, lecz, przeżone widokiem zniszczenia, jakie się roztaczało wokół, skryło się szybko za chmurę, która, na szczęście, znajdowała się opodal.

Nasze smereki, zdziwione, że uszły śmierci, spojrzwały ku górze i nagle wszystkie razem zawołały:

— Król, król, — patrzcie, król zginął! Z potrzaskaną koroną leży w przepaści. O, patrzcie, jakie ma potężne korzenie, lecz i one go nie uchroniły! A my, tacy słabi, tacy wąтли — ocaleliśmy!

— Bośmy byli razem, bośmy się wzajem wspiera-
rali, a on był sam. Widziałem, jak się zmagał
z wichrem, lecz siła jego na nic się nie zdała.
Pojedyńczy smerek nie zdoła się oprzeć wichrowi,



tylko zwarta ściana obronić mu się może! — mó-
wił najstarszy ze smereków, a inne słuchały go
pilnie.

Chwilę trwała głęboka cisza i nie podniósł się ani jeden głos żalu, współczucia; nagle młodzieńkie drzewko zawołało:

— Patrzcie, bracia. Toć on^o zajmował tyle miejsca, że na nim setki smereków rosnąćby mogły. Wszak to było niesprawiedliwie! Jak mogliście na to pozwolić?

— Miał siłę! Lecz że siły tej używał na złe, niechaj pamięć jego zaginie wraz z jego życiem!

DUCH BURZY.

Mały Rudek mieszkał z rodzicami w dolinie górskiej, a gdy siły mu już pozwoliły, drapywał się po górach i nieraz docierał do szczytów, zadziwiając wszystkich swą odwagą. Góry swoje kochał Radek nad wszystko, czuł się w nich, jak w domu, i powtarzał zawsze, iż, gdy dorośnie, zostanie przewodnikiem po górach, jak ojciec jego.

Gdy Rudek miał lat dwanaście, gospodarze powierzyli mu stado kóz, i oto chłopiec wyruszył na wiosnę w góry. Był bardzo zadowolony ze swego zajęcia i dumny niezmiernie, że mógł zarobić trochę pieniędzy i w ten sposób pomagać rodzicom.

Stado swoje Rudek kochał ogromnie: każdą kozę znał doskonale i każdej nadał jakieś imię. Jednakże wymagał od nich posłuszeństwa, a gdy która z kóz okazywała upór lub samowolę, potrafił ją ukarać surowo.

Wesołe było teraz życie Rudka. Róg jego rozbrzmiewał daleko z wyżyn i biegł hen, aż ku dolinom, a pieśni nie umilkły na ustach chłopca!

Najchętniej przebywał Rudek ze swem stadem w tem miejscu, gdzie góry opuszczały się nad jezioro tak stromo, iż nie było z tamtej strony żadnej drogi. Chłopiec wychylał się ze szczytu i patrzył w dół, na powierzchnię wody, która

była tak cicha i szmaragdowa w blaskach słońca, iż nie można sobie było wyobrazić, iż często pod naporem wichru stawała się czarna i huczała groźnie.

Pewnego dnia, gdy Rudek leżał na szczycie, mając koło siebie swą ulubioną kozę, Czarnulę, wzrok jego niespokojnie zwracał się ku niebu, które było dzisiaj niezwykle szafirowe. Chłopiec potrzasał niespokojnie głową, a Czarnula, jakby rozumiała jego niepokój, pobekiwała zeicha i spoglądała ku swoim małym kozłętom; bielutki Mimiś skubał sobie najspokojniej trawę, ale czarny Bebelek dokazywał zawzięcie, tak że matka co chwila musiała go nawoływać do porządku poważnem beknięciem.

Bo też rzeczywiście Bebelek to największy kłopot dla Rudka. Kozłátko było najweselsze i najswawolniejsze z całego stada. Chłopiec często bardzo musiał je napominać, strofować i karać; mimo to kochał je bardzo, może więcej, niż inne.

Na szafirowe niebo zaczęły zwolna napływać drobne, białe chmurki — nieomylny znak, że wichur górski był w pogotowiu do zwykłej hulanki. Nie było czasu do namysłu: Rudek podniósł się z ziemi, zatrąbił w swój róg, zwołując stado do powrotu w dolinę. Kózki biegły posłusznie na ten głos, niechętnie, co prawda, gdyż wołały być w górach, niż w ciasnej zagrodzie, ale nie było rady; wiedziały, że Rudek nie żartuje z nieposłusznymi. Tylko Bebelek okazał się, jak zwykle, niesforny, i bat chłopca musiał kilka razy przychodzić mu z pomocą.

Tymczasem niebo stawało się coraz ciemniejsze, chmurki napływały coraz szybciej i łączyły się w duże, ciężkie chmury. Rudek musiał się śpieszyć, aby zdążyć do domu przed nadejściem wichru, który był bardzo groźny dla kóz w górach, gdyż mógł je potężnym podmuchem pospychać w przepaście.

Gdy wreszcie znaleźli się w dolinie i Rudek przeliczył powierzone sobie stado; okazało się, iż brakło jednej sztuki, a był nią krnąbrny Bebelk. Czarnula także spostrzegła brak swego koźlatka i żałośnie beczała, spoglądając na chłopca.

— Nie bój się, Czarnulo! Odnajdę twoje dziecko i przyprowadzę ci! — pocieszał swą przyjaciółkę Rudek.

I rzeczywiście, mimo przestróg starszych, mimo prośb matki, chłopiec, umieściwszy kozy w zagrodzie, udał się na poszukiwanie koźlatka.

Tymczasem w górach panowała już burza i wichur, który czyhał na ofiary. To też, gdy zobaczył chłopca, biegnącego z powrotem w góry, ucieszył się niezmiernie i wnet rzucił się na niego.

Chłostany i gnany wichrem, Rudek biegł szybko; nagle usłyszał słabe beczenie. Spojrzał w górę i oto zobaczył na skale nad jeziorem koźlatko, które widocznie dostało się tam śmiałym skokiem, a teraz nie mogło się wydostać. Ale i Rudek nie miał możliwości dostania się do Bebelka, chyba przez — jezioro.

Chłopiec spojrział przed siebie i ujrzał czarną, kotłującą się wodę, ryczącą i rozbijającą się o skały nadbrzeżne, i—choć był bardzo odważny — zdjął go lęk.

— Toż to śmierć pewna! — szepnął do siebie i chciał już zawrócić, gdy znów go doszło beczenie biednego Bebelka.

To oprzytomniło chłopca. Nie namyślając się dłużej, wskoczył do małego czółenka i już miał odbijać od brzegu, gdy nagle poczuł na swoim ramieniu jakąś ciężką rękę. Obejrzał się: przed nim stał śniady mężczyzna z kruczymi włosami i brodą, w czarnym, rozwianym płaszczu.

— Zabierz mnie do swego czółna! — rzekł do chłopca rozkazującym tonem.

— Ależ, panie! Przejazd będzie ciężki, za nie nie ręczę! — odparł chłopiec. — Nie wiem, czy sam ocale życie.

Nieznajomy roześmiał się i, nie pytając więcej, wskoczył do czółna. Nie było rady: chłopiec odbił od brzegu i wypłynął na jezioro.

Rudek umiał doskonale wiosłować, był bardzo silny i zręczny; jednak tu czekała go praca nad siły. Na jeziorze było o wiele straszniej, niż sobie przedstawiał: niebo przybrało barwę ciemną, jak noc, a jezioro było zupełnie czarne; w górze błyskały błyskawice, biły pioruny, a z głębi wody wychodził głuchy ryk.

Czółno pochyłało się na wszystkie strony, rozbijało się na wierzchu kłębiącej wody, to znów zapadało w ciemną otchłań; każda niemal chwila zdawała się grozić mu zagładą.

Nieznajomy, ku wielkiemu zdziwieniu Rudka, stał na czółnie, wyprostowany, spokojny, nieustraszony.

— No cóż, chłopcze? Może masz już dosyć? Może chcesz wrócić?

— Chętniebym to zrobił — odparł chłopiec — lecz nie mogę porzucić mego koźlatka. Cóżbym ja był za pastuch!

— Czy dla jednego, marnego koźlatka warto narażać życie? Czyż nie czujesz, że masz wokół siebie rozszalałą burzę?

— Niestety, czuję to aż nadto dobrze, lecz gromadzie przyrzekłem strzedz jej dobra, gdy mnie wybierano na pastucha, więc przyrzeczenia dotrzymać muszę, bo wszakże ono równa się przysiędze!

Nieznajomy spojrział na chłopca, jakby chciał wyczytać w jego oczach, czy to jest jego stałe postanowienie, lecz nie rzekł już nic więcej. Po chwili usiadł w czółnie i chłopcu nagle wydało się, że burza uspokoiła się nieco, a czółno szybciej pomknęło przez jezioro.



Gdy dobili do przeciwległego brzegu, nieznamy rzekł:

— Nie troszcz się o twoje czółno. Ja go dopilnuję!

Chłopiec bez namysłu wręczył mu łańcuch, który trzeba było zakręcić o słup nadbrzeżny, sam zaś począł niezwłocznie wdrapywać się na skały. Trudne to było dzieło, lecz chłopcu zdawała się pomagać jakaś siła niewidzialna.

Wreszcie dotarł do koźlatka, które z radością przytuliło się do swego wybawcy, zapomniawszy o swej zwykłej krnąbrności i nieposłuszeństwie.

— Oj, ty głuptasku! Widzisz, do czego prowadzą figle i swawole! — strofował z przyzwyczajenia Rudek, na pół niosąc, na pół ciągnąc za sobą drżące stworzonko.

Burza zdawała się uspokajać.

Nieznamy czekał z czółnem na dawnym miejscu; Rudkowi wydało się, że twarz jego stała się jakaś jaśniejsza i łaskawsza.

— Siadaj prędko. Ja cię powiozę, gdyż musisz być porządnie zmęczony.

To mówiąc, nieznamy chwycił za wiosła i łódka pomknęła tak szybko, jakby na jej usługach był wicher, a fale niosły ją ochotnie.

Gdy się znaleźli na lądzie, nieznamy owinał się w swój płaszcz, skinął ręką i burza nagle uspokoiła się.

— Wracaj spokojnie do domu, a zapamiętaj to sobie dobrze, iż odwadze i uczciwości pomagają nawet te siły przyrody, które mają moc niszczenia i zagłady!

Wyrzekłszy te słowa, nieznamy rozpostarł swój płaszcz, uniósł się w powietrze i zniknął z oczu zdumionego chłopca.

Trudno opisać radość z powodu powrotu Rudka: rodzice i znajomi nie spodziewali się go ujrzeć więcej.

Gdy po wybuchach pierwszej radości chłopiec opowiedział swoje zdarzenie, w izbie zapanowało milczenie głębokie.

Wreszcie dziadek Rudka, najstarszy z całej wsi, rzekł uroczyście:

— Chłopcze! Spotkało cię wielkie szczęście: Duch Burzy wziął cię w swoją opiekę! Na całe życie teraz tyś wolny od niebezpieczeństwa, największe zawieruchy i huragany nie ci nie zrobią!

I sprawdziły się słowa dziadka: Rudek wyrósł na dzielnego przewodnika, który ważył się na najśmielsze wycieczki podczas najstraszniejszej pogody i zawsze wychodził cało ze wszystkich przygód.

— Duch Burzy wziął go w opiekę! — mówili ludzie.



M. k. D. 31447.

ZAJMUJĄCE CZYTANKI

fen.

- | | | |
|------|---|------|
| 89. | Wully. Pies owczarski. Nowe opowiadania z życia zwierząt, przez E. S. Thompsona. Cz. II. Przetł. M. Arct-Golezewska. | — 30 |
| 221. | Zdarzenie z dzięciołkami i inne obrazki z natury , przez M. Arct-Golezewską. Z 14 ryc. | — 45 |
| 98. | Zwierzęta gimnastykujące się. Według H. Coupin: La vie curieuse des Bêtes, opracowała M. A. G. Z 17 rysunkami. | — 30 |
| 247. | Z życia zwierząt w niewoli , przez K. Hagenbecka, Cz. I. Skróciła J. Bernsteinowa. Z 23 rys. | — 70 |
| 248. | Z życia zwierząt w niewoli. Cz. II. Z 18 ryc. | — 70 |
| 134. | Żle bez królowej. Powiastka o pszczołkach J. Ciembrownicza. Z rys. K. Urbańskiej. | — 30 |
| — | | |
| 24. | Balon tajemniczy , przez Antoszkę. Wyd. III. | — 40 |
| 4. | Balonem przez Australję , przez E. Trojana. Wyd. III. | — 40 |
| 201. | Białogłowy. Opowiadanie. Tłomacz. z ang. A. B. | — 90 |
| 49. | Chłopiec okrętowy. Prawdziwa opowieść z życia francuskiego admirała Jerzego Pleville, przez Al-Ara. Wyd. II. | — 45 |
| 7. | Córka osadnika , przez A. Lubicza. Wyd. IV. | — — |
| 13. | Dziesięć dni na tratwie , przez E. Trojana. Wyd. III. | — 40 |
| 16. | Mały bohater , przez A. Lubicza. Wyd. III. | — — |
| 15. | Między wilkami a Indjanami , przez A. Lubicza. Wyd. IV. | — 40 |
| 147. | Miljoner rozbitkiem. Na tle prawdziwych zdarzeń, przez K. Kalinowskiego. Z ryciną. | — 60 |
| 2. | Na pustyni Saharze , przez E. Trojana. Wyd. III. | — 40 |
| 213. | Nasze siostrzyczki w dalekich stronach. P/g oryginału ang. przez J. Andrews. Cz. I. Z 17 rys. | — 75 |
| 214. | Nasze siostrzyczki w dalekich stronach. Cz. II. Z 6 rys. | — 45 |
| 307. | Na wycieczce. Dwa obrazy z życia skautów polskich, przez Z. Kościelskiego. | — — |
| 193. | Opowiadania: Bumerang. — Złośliwy słoń. — Mój pierwszy jaguar. — Polowanie na łosie. — Między goryłami, przez Wł. Umińskiego. | — 60 |
| 150. | O skórę lwa morskiego. Z życia Europejczyków w Peru, przez K. Kalinowskiego. | — 60 |
| 127. | Przez kraję Masajów. Przygody w Afryce, przez K. Petersa. Wyjątek z dzieła „Niemiecka wyprawa na poszukiwanie Emina Paszy”. Przełożył A. Krasnowolski. | — 75 |
| 226. | Przez ogień i przez lasy. Zajmujące przygody dwojga dzieci, przez E. S. Ellis. Przełoż. z ang. E. Żmijewska. Cz. I. Z 2 rys. | — 60 |
| 227. | Przez ogień i przez lasy. Cz. II. Z 2 rycinami. | — 60 |
| 241. | Przez Raj Palmalu. Pamiętnik Janka Orszy, przez K. Kalinowskiego. | — 90 |
| 137. | Przygody Almanzora. Z rysunkami. | — 35 |

